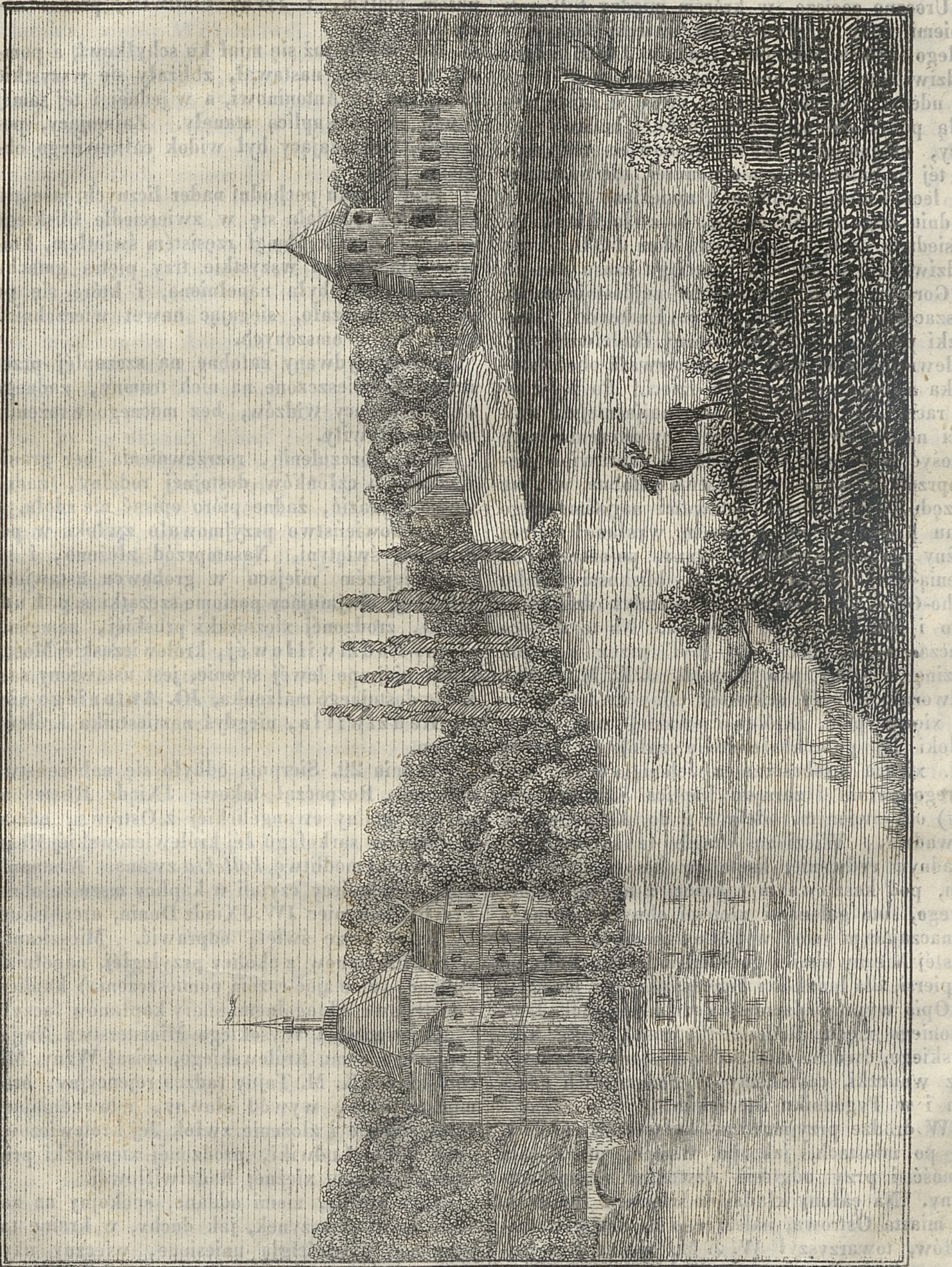
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 25.** Leszno, dnia 22. Grudnia 1838.



Antonin i Mauzoleum xiążąt Radziwiłłów.

Obchód pogrzebowy w Antoninie.

I wroci się proch w ziemię, iakim był,
a odeydzie duch do Boga, który
go dał. Salomon.

(Z Biblii Radziwiłłowskiéj.)

Uroczne zacisze, w krórém między kilkosetletniemi dęby i wyniosłemi świerki lasu rozległego zamek dostojnéj rodziny J O O. xiążąt Radziwiłłów, *Antonin* zwany, przechodnia na raz uderza i wielce zajmuje, nową, a zaiste niemałą pozyskało ozdobę w pięknéj budowy kaplicy, obejmującéj także grobowiec rodzinny. Do téj to katakomby, nie ponuréj, nie odrażającéj, lecz widnéj, gustownéj, zwieziono i złożono na dniu 28go m. Sierpnia r. b. zwłoki niestety! aż siedmiu osób, które wysoki dom J O O. xiążąt Radziwiłłów w krótkim przeciągu czasu utracił.

Gorącem było pragnieniem najdostojniejszéj, najszacowniejszéj pani, ś. p. Ludowiki, xiężniczki pruskiéj, zamężnéj xiężny Radziwiłłowéj, królewiczowskiéj Mći: by spoczywała obok małżonka swego, wśród swych dzieci. Po jéj zgonie raczył, na prośbę rodziny, najjaśniejszy król Jmći najłaskawiéj dozwolić: by życzeniu temu zadosyć uczyniono. W Berlinie odprawiono nasamprzód uroczyste nabożeństwo żałobne, według obrzędu, przepisanego ustawami najjaśniejszego domu królewskiego, a potém wysłano zwłoki xiężny pani do kaplicy S. Anny, położonéj pod Jelenią-Górą (Hirschberg) w bliskości zamku Cicho-Górskiego (Ruhberg), niegdyś dziedzicznego i ulubionego jéj siedliska. Na to miejsce tymczasowego spoczynku był przez dostojną rodzinę wysłany pan Kupsch, J. K. M. radzca nadworny, a były sekretarz tajny dworu zmarłéj xiężny pani, królewiczowskiéj mci, który zwłoki jéj po nabożeństwie żałobném, przez JM. xiędza proboszcza z Jeleniéj-Góry, (do którego parafii i zarządu kaplica S. Anny należy) odprawionem, odebrał i do Antonina odprowadzał. Wieziono drogie te szczątki na paradnym rydwanie, kształtem karety zbudowanym, pod kosztownym całunem z axamitu fioletowego, suto galonami złotemi obwiedzionym, a odznaczającym się wyhaftowanemi i herbem zgasłéj Xiężny pani i godłami orderów, które na jéj piersi, dla ludzkości bijącéj, niegdyś jaśniały.

Opis wyprowadzenia z Poznania zwłok J. O. Antoniego xięcia Radziwiłła, namiestnika królewskiego, dwóch synów, córy najstarszéj, synowy oraz wnuczki, czytaliśmy w Poznańskich gazetach i w Tygodniku literackim.

W drodze przyjmowany był orszak żałobny, tak po miastach, jak po wsiach, przez całą ludność i przy odgłosie dzwonów przeprowadzany. Na całuny kładziono wieńce z kwiatów. Od miasta Ostrowa, należącego do xiążąt Radziwiłłów, towarzyszył W. J. M. xiędzu Brzezińskiemu, kanonikowi metropolitalnemu, prowadzącemu orszak od samego Poznania, WJM. xiądz dziekan Kompałła, proboszcz miejscowy, a cechy i bractwa assystowały z chorągwiami. Tłum przybyłych z okolicy mil kilka, by czcigodnym cieniom hołd ostatni oddać, był nieprzejrzany.

Cały orszak poprzedzili JWny. generał piechoty de Grollman, naczelnie dowodzący korpusem piątym, i JWny Flottwell, prezes naczelny.

Gdy dzień już się miał ku schyłkowi, a pomrok wieczorny nastawał, zbliżały się wszystkie karawany ku Antoninowi, a w jednéj i téj saméj chwili przed kaplicą stanęły. Zajmujący, poważny, wzruszający był widok całkowitego obchodu.

Przy blasku pochodni nader licznych, jaśniała kaplica, i odbijała się w zwierciedle bliskiego jeziora. Zamek płonął rzęsistém światłem, którém sala, przez wszystkie trzy piętra gmachu przechodząca, była napełniona, i które się po parku rozstaczało, sięgając nawet wierzchnich konar drzew omszonych.

Cztery rydwany żałobne na szczupłéj przestrzeni i umieszczone na nich trumny, żadnego z kilku tysięcy widzów, bez mocnego wrażenia, nie pozostawiły.

Łez, rozczulenia, rozrzewnienia bez granic wszystkich członków dostojnéj rodziny, żadna mowa wyrazić, żadne pióro opisać nie zdoła.

Duchowieństwo przyjmowało zwłoki w podwojach świątyni. Nasamprzód złożono, i na najcelniejszém miejscu w grobowcu ustawiono sarkofag, obejmujący poziome szczątki ś. p. Ludwiki, zrodzonéj xiężniczki pruskiéj, zamężnéj xiężny Radziwiłłowéj, królewiczoskiéj Mości. Obok niéj, po lewéj stronie, jest ustawiony sarkofag dostojnego małżonka, JO. Antoniego xięcia Radziwiłła, niegdyś namiestnika królewskiego.

Wdniu 29. Sierpnia odbyło się nabożeństwo żałobne. Rozpoczął takowe JXiądz Rissmann, pasterz gminy ewangelickiéj z Ostrowa, odmawiając przy sarkofagu Jéj królewiczowskiéj Mości xiężny pani modlitwę, *kollekta* zwaną. Następnie kapłani katoliccy czytali w kaplicy msze żałobne. Przybył nakoniec JW. JXiądz Dunin, arcybiskup, by także mszę świętą odprawić. Mieszkańcy wszelkich stanów z okolicy przyległéj, napełniali kolejno, (niemając razem pomieszczenia) kaplicę, i modły swe z błagalnemi ofiary kapłanów łączyli.

Z poruczenia Wysokiego Ministerstwa Najjaśniejszego domu królewskiego, spisał Wżny. Michalski, J. K. M. Tajny radzca rejencyjny, oraz ministeryalny, wywód słowny, udowodniający sprowadzenie i złożenie zwłók Jéj królewiczowskiéj Mości Ludwiki, urodzonéj xiężniczki pruskiéj, zamężnéj xiężnéj Radziwiłłowéj.

Oby prochy, ziemi oddane, spokojny na zawsze miały spoczynek, jak duchy, w krainę tajemniczą, niedościgłą uniesione, wieczny uzyskały pobyt!

Kaplica cała, lubo skromnie, lecz nader gustownie jest urządzoną. Ołtarz składa się z prostego stołu, na którym krzyż bronzowy i dwa takież świeczniki ustawione. Sprzęty wszystkie są i kosztowne i misternie robione. Wiele z tych ozdób, okrycie ołtarza, zasłona za nim, ornaty, jest nie tylko pod okiem trzech xiężnych: JO. Matyldy, xiężny Wilhelmowéj, i JO. Leontyny, xiężny Bogusławowéj Radziwiłłowéj, oraz JO. Wandy z xiążąt Radziwiłłów, xiężny Czartoryskiéj, sporządzonych; lecz roboty około takowych w znacznéj części własnemi ich rękami wykonane; xiężnych, zasługujących w nierozdzielném swém połączeniu, zaiste dla każdéj innéj rodziny wzorowém, na nazwę Gracyi, i ze względu na ich liczbę i na niezrównaną uprzejmość, niemniéj najpiękniejsze przymioty duszy.

Z ostatecznego rozporządzenia ś. p. JO. Elizy, xiężniczki Radziwiłłównéj, stanęła, obok kaplicy, dogodnie i ozdobnie zbudowana szkoła dla dziatek mieszkańców Antonina i najbliższych osad. Dobroczynny ten zakład hojnie jest uposażony. Późne pokolenia błogosławić będą istotę, która, rzec można, tylko na chwil kilka z niebios zstąpiła, by się ukazać, dobrze czynić i zniknąć.

W ślady czcigodnych rodziców wstępują pozostali dostojni potomkowie, i chętnie darami szafują. Z ozdobnych rydwanów żałobnych przeznaczyli JOO. xiążęta Radziwiłłowie jeden dla gminy katolickiéj, a drugi dla gminy ewanjelickiéj w Ostrowie.

Wyraźném było postanowieniem ś. p. obojga Xięstwa ichmość namiestnikostwa, by zwłoki ich do grobu rodzinnego w cichości sprowadzone i złożone zostały. Cała dostojna rodzina za świętą dla siebie miała powinność, ściśle wypełnić wolę uwielbianych rodziców. Z powodu tego nie mogła być wiadomość o obchodzie żałobnym naprzód rozpowszechnioną. Gdy zatém z Szanownych Obywateli naszego w. xięstwa mała tylko liczba na tym obrzędzie znajdować się mogła, sądzimy przeto, że odpowiadamy powszechnemu życzeniu, czyniąc opis niniejszy, acz nieudolném piórem skreślony, i, dla zaszłéj przeszkody, opóźniony. *M....n.*

Z moich wspomnień

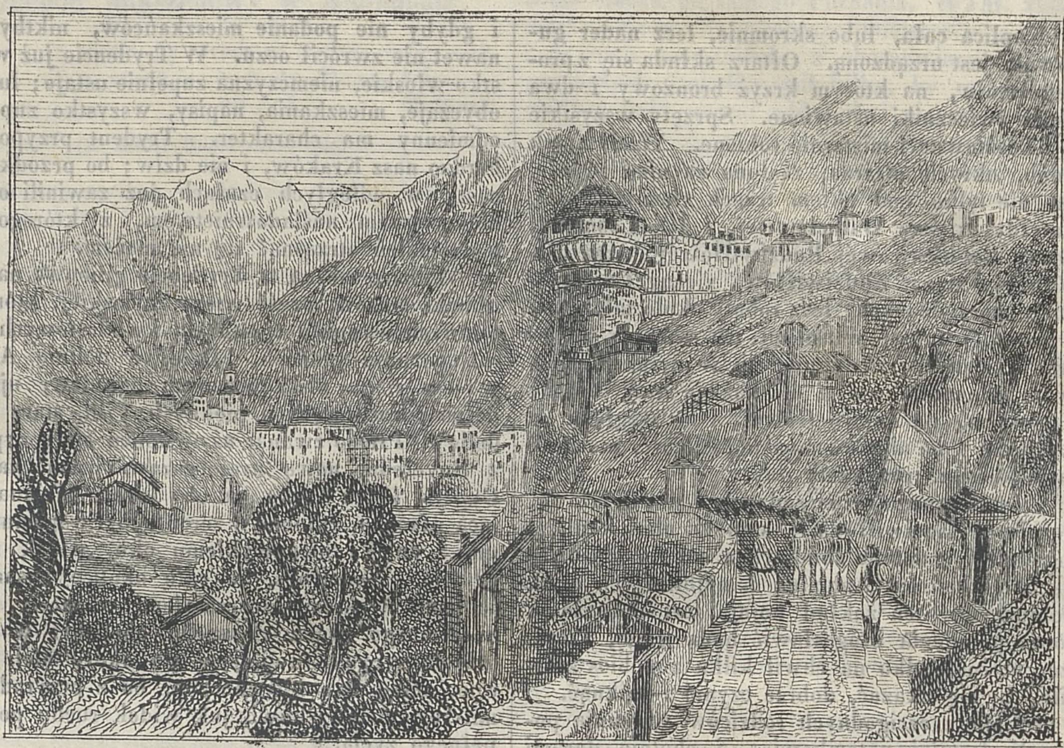
(Dokończenie.)

Sławny zbór stanął mi w pamięci, w duszy obijał się wymowny głos Hozyusza; bo wszędy nad wszystko drogie najmilsze ojczyste wspomnienia. Ciekawie szukałem oczyma najstarszéj budowy sklepienia, pod którem niegdyś wszystkie głowy katolicyzmu zasiadły; ale jakież było moje podziwienie, kiedy już w mieście powiedziano mi, że ani marmurowy zamek biskupów, ani wiekami sczerniały wspaniały gotycki dom, ale mniejszy daleko i w nowszym stylu zbudowany kościół, tylu stanowczych ustaw był świadkiem. Żadnéj też w nim nie masz pamiątki, i gdyby nie podanie mieszkańców, niktby nań nawet nie zwrócił oczu. W Trydencie już wszystko włoskie, niemczyzna zupełnie ustaje; ludzie, obyczaje, mieszkania, napisy, wszystko zupełnie odmienny ma charakter. Trydent przypomina bardzo nasz Kraków, i nie dziw; bo przodkowie nasi, w odległych czasach już zawinili owem nieszczęsném naśladownictwem, z którego my podziśdzień otrząsnąć się nie możem.

Widzieć można w Trydencie grobowe napisy, ułamki murów, część wieży rzymskiéj, które po czarnych wypukło ciosanych, kwadratowych, zaraz poznasz głazach. Daléj w dolinie Adygi, w tem ciągu nieskończonych ogrodów, ujrzysz pełno porozrzucanych pięknych Villi, starą cytadellę Al Presso zwaną, aż w końcu stare cyprysy z Roveredo, nową krajobrazowi postać nadają. Cyprys, jak z bliska, jakoby kirem odziana stojąca płaczka, żałobne w sercu budzi wspomnienia, tak z daleka nienawykłemu oku, widok nader ożywia. Sądziłbyś, że całe okolice nasadzone setnemi wiekiem sczerniałemi minarety, albo z ciemnego głazu ciosanemi obeliski: w myśli już dostrzegasz uwijające się około nich ludzi roje, serce twe bić zaczyna, bo z przyrody nic milszego człowiekowi, jak widok ruchu postępu pełnego życia.

Opuściliśmy Roveredo po północy, aby nad rankiem zastać jeszcze w Bira statek parowy, co na drugi brzeg Garda miał nas przewieść; przeprawiwszy się na pramie przez Adygę, uciążliwa, bezludna, dzika i brzydka droga, pod górę po skale wiodąca po téj urocznéj dolinie, cośmy dopiero opuścili, nieznośną nam się stała; ale tém większą była nasza radość, kiedy stanąwszy na góry grzbiecie, ujrzeliśmy na pół mili przed sobą w głębokiém skalistem łożu, pomiędzy dwoma zawiesistemi ścianami z ciemnych granitów, nieprzejrzane okiem, w obięciach obłoków przepadające modre zwierciadło. Kolor lazurowy téj rozległéj toni, bladł powoli w miarę, cośmy się ku niemu spuszczali, aż nareszcie w Torbole, sine już tylko fale skryły się za rozłożystem fig liściem.

Pół godziny póżniéj, zadzwoniono: warkly turkoczące żelazne walce: statek parowy arcyxiążę Rajner sunął z nami na zielone szyby jeziora, i w posuwistych podrzutach szybko pruć zaczął, głębokie o jego piersi burzące się tonie. Wiatr był przeciwny, bo z Mantuańskich równin ciepłemi dął podmuchy; niezadługo jednak wypłynęliśmy z wązkiéj, północnéj, skałami ogrodzonéj szyi jeziora, na obszerniejszą wody przestrzeń. Na prawo czerwieniło się roskoszne Salo, daléj koło Sirmio rozwaliny niegdyś mieszkania Katulla. Na terasach pozawieszanych na pochyłości gór, zieleniły się pomarańczowe gaje, gdzie niegdzie po nad niemi, sterczał smętny wierzchołek cyprysa. Na lewo małe wyżyny zakrzewione siwem liściem oliwnych lasów, ubadały jak łany zboża, za każdem wiatru



Widok miasta Roveredo.

powiewem, nieco daléj odbijały się w białem zwierciedle wody cyprysy i domki wesołego Sant. Wigilio.

W statku tętniała głucho ściśniona para, rozlegały się wrzaskliwe niesfornych majtków krzyki. Na pokładzie brzuchaty Hofrath nabundjuczył się jak jendyk, i z rogowego cybucha puszczał szczypiący dym Kanastru. Dwie jego córki żwawo przebierając drutami, szczebiotały z przysadą o roskoszach przejażdżki. Na ławie trędowaty w rogatym kapeluszu, czarnym fraku, niebieskich pończochach i grubych z stalowemi szpinkami trzewikach Abate, częstował hiszpańską tabaczką młodszego swego kollegę. Na przodzie u steru młody Włoch opowiadał nam z zapałem, o niedawno w Brescyi wykopanem rzymskim teatrze; starszy jego rodak, któremu wilgne Genui lochy wyssały jutrzenkę lica, długą lunetą badał dalekie brzegi jeziora: z niebieskiego oka spadała mu na lica, czasami łza kroplista, bo w piersiach, chociaż szlachetny tleje płomień, tęskno i smętno, jak pod wiekiem trumny. Tak przybrany statek nagle zwichnął kierunku, stanął przed wązką szyję zatoki, czekając na dwie, na wyścigi naprzeciw nam bieżące łodzie.

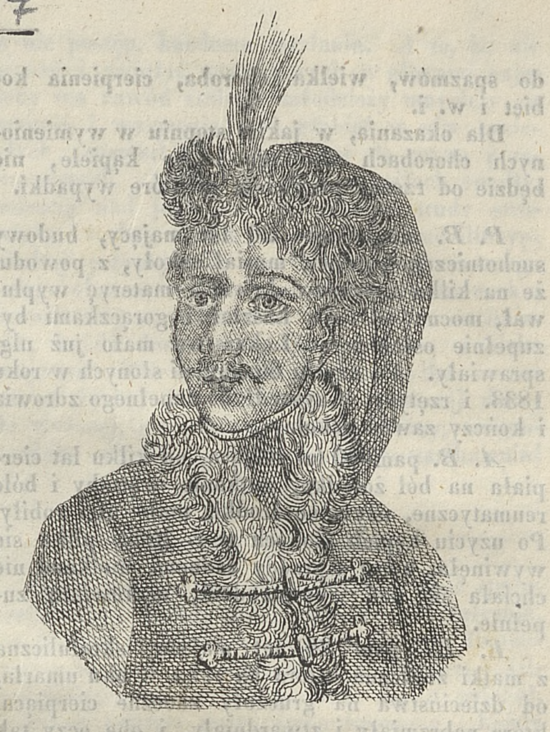
Kilka minut późniéj wstąpiliśmy na wenecką ziemię. Serce w tęsknéj uniosło się radości, przed myślą stanęły ciemne średnio wiekowych dziejów krużganki, po nich przesuwały się jak cienie, wzniosłe postacie twórców weneckiéj potęgi, tyle tryumfów, i zwycięztw tyle, a wszystko w olbrzymich kształtach. Męztwo, miłość, rozum, sztuki, wolność, niewola, a nawet i duma możnych, wszystko tam było wielkie, i wszystkô na kilku tylko błotnistych zrodzone ostrowiach; bo w mocy potężnego ducha człowieka, z pyłu rozwinąć wielkie nieśmiertelne życie, a nawet piekła na niebo przetworzyć. Z szacunkiem więc po téj ziemi, zasłanéj wawrzynami tylu wieków stąpaliśmy.

Maurycy Benjowski.

(Z Małéj Encyklopedyi polskiéj, pod prassą znajdującéj się.)

Maurycy Benjowski, rodem z familii szlacheckiéj w Węgrzech, wsławił się nadzwyczajnemi przygodami. Wrodzony mu duch awanturniczy, powiódł go do zaciągnienia się w szeregi walczących za wolność Konfederatów barskich. — Udało mu się, między innemi, zamek Lanckorony, w pobliżu Karpatów, na nieprzyjaciołach zdobyć. Późniéj wzięty w niewolę od Rossyan, zawieziony został do Kazanu, gdzie miał pozostać; ale zawsze zuchwały w przedsięwzięciach, utwarza sobie fałszywy paszport kuryerski, i w postaci gońca nadzwyczajnego, udaje mu się dostać aż za Moskwę. Poznany nareszcie i przytrzymany, za najwyższym rozkazem cesarzowéj wysłany został na wygnanie aż do Kamczatki. Tam już usadowiony, potrafił ująć sobie guber-

natora prowincyi; i gdy mu nieco więcéj wolności pozwolili, użył ją do wzniecenia spisku między innymi współwygnańcami. Udało mu się przedsięwzięcie, zginął w walce gubernator, rozbrojony został garnizon rossyjski, i okrzykniony rządzcą Benjowski. Opanował natychmiast okręt na przystani stojący, w zamiarze odpłynienia w dalsze strony; ale otaczające go zawały lodu, podczas pory zimowéj, nie pozwalały jeszcze wyruszyć okrętowi. Tymczasem ściąga Benjowski na okręt swój, jak do fortecy, wszystkie działa i broń ręczną, która była na lądzie, i wkrótce widzi się napadnionym od zebranych na prędce oddziałów wojska rossyjskiego, usiłujących powrócić do posłuszeństwa małą kupę zbuntowanych wygnańców. Przyjmuje ich Benjowski gęstemi wystrzałami z okrętu, i przymusza do ucieczki. Po spłynieniu lodów na wiosnę, puścił się nowy żeglarz na morze japońskie, okrążył na swoim okręcie całą Azyę, całą Afrykę, i przybył szczęśliwie do Francyi. Wieść o awanturniczéj i nadzwyczajnéj wyprawie rozeszła się po całéj Europie, i dla dogodzenia ciekawości publicznéj, a bardziéj jeszcze spekulacyom drukarzów, ukazały się w francuzkim języku *Pamiętniki Maurycego Benjowskiego.* W nich atoli, tyle jest pomięszana prawda z romansowemi dodatkami, że trudno jéj wyśledzić. Odtąd Benjowski stał się przedmiotem, zajmującym całą wielkiego Paryża publiczność. Wszyscy widzieć go żądali. Pani Genlis w Pamiętnikach swoich mówi, że go równie życzyła poznać, i poznała się z nim, ale, że bynajmniéj nie odpowiadał wyobrażeniu, które sobie każden o nim utworzył, i prawie ograniczonym się wydawał. Jakożkolwiek bądź, czyny za nim mówiły. Duch jego niespokojny, nie długo mógł zostać w bezczynności. W podróży swojéj morskiéj zwiedził był wyspę Madagaskar; i gdy mu się zdawała korzystną do założenia nowych osad europejskich, zaproponował dworowi francuzkiemu wysłanie tam małego oddziału wojska, dla uskutecznienia takowego przedsięwzięcia. Powierzył mu tę wyprawę dwór wersalski, dał mu okręty i oddział wojska, z któremi przypłynął szczęśliwie do Madagaskaru. Ale wkrótce przechodząc dane mu instrukcye, utworzył sobie stronnictwo między wyspiarzami, i od nich **królem** był obwołany. Wszelako nie przyjął jeszcze wtenczas tego zaszczytu, i chcąc się przed rządem francuzkim najwyraźniéj uniewinnić, puścił się w podróż do Europy, i zjawił się w Paryżu. Gdy jednak wszelką ufność już był stracił, już się z nim dwór wersalski wdawać nie chciał. Zniechęcony Benjowski, wrócił do Madagaskaru, i tą razą przyjął ofiarowany mu od mieszkańców tytuł królewski. Gubernatorowie pobliższych osad francuzkich, wysłali wtedy przeciw niemu rozmaite oddziały wojska. Przyszło do krwawych rozpraw, a w jednéj z nich poległ wśród boju Benjowski.



Maurycy Benjowski.

Przykos, staw, w kopalniach soli w Wieliczce.

(Koniec.)

Własnością zaś używania zewnętrznego jest: działanie na skóry powierzchnią, ta nabywa tęgości i mocy, i staje się mniéj czułą na wpływy zewnętrzne; chroniczne jéj zapalenia ustępują, liszaje i świerzby wysychają i kruszą się, rany i wrzody czyszczą się i goją, poty chorowite znikają, a często wysypki i poty krytyczne, nawet po przestanéj już kąpieli, jeszcze powstają. Przytém wszystkiém kąpiel słona nie rozpala, jak inne siarczane i rozgrzewające, owszem, zapalenia chroniczne zmniejsza i leczy, dla tego też niektóre osoby, które w Trenczynie, Piszczanach, w Cieplicach Czeskich nie doznały ulgi, tu się wyleczyły. Przeto słona woda, do pewnéj ilości używana, sprawiając ściągania włókna i tkanki komorkowatéj organicznéj, wzmacnia: osłabione nogi starców wzmocniały, że znowu z łatwością chodzić mogli.

Choroby więc, które wymienionych operacyi lekarskich do swego usunięcia potrzebują, tu znajdą skuteczne i dosyć prędko działające lekarstwo, jako to, skrofuły, artrisis, rheumatyzmy, affekcye kołtonowe, zatwardzenia wątroby, śledziony, gruczołów, macicy, zapalenia chroniczne płuc i gardła, pierwiastki suchot: krwioplucie, dolegliwości hemoroidalne, liszaje, świerzby, choroby z nadużycia merkuryuszu, osłabienia nerwów, hypokondrya, hysterya, migrena, skłonność

do spazmów, wielka choroba, cierpienia kobiet i w. i.

Dla okazania, w jakim stopniu w wymienionych chorobach skutkują nasze kąpiele, nie będzie od rzeczy przywieść niektóre wypadki.

P. B. młodzieniec 20 lat mający, budowy suchotniczéj, porzucić musiał szkoły, z powodu, że na kilka zawodów krwią i materyę wypluwał, mocno od roku kaszlał i gorączkami był zupełnie osłabiony. Lekarstwa mało już ulgi sprawiały. Po użyciu 60 kąpieli słonych w roku 1833. i rzętycy, przyszedł do zupełnego zdrowia i kończy zawód szkolny.

A. B. pani 40 lat mająca, od kilku lat cierpiała na ból żołądka, zatkanie wątroby i bóle reumatyczne, używane środki, mało ulgi robiły. Po użyciu kąpieli słonych w r. 1833, plika się wywinęła, która wprzódy żadnemi środkami nie chciała się dać wyprowadzić, ozdrowiała zupełnie.

E. H. pani 26 lat mająca, skrofuliczna z matki zrodzona, która na raka w oku umarła, od dzieciństwa na gruczoły zaoczne cierpiąca, które nabrzmiały i ztwardniały, i oba oczy tak wysadziły, że ich powiekami nie zupełnie pokryć mogła, ztąd częste zapalenia oczów miewała, przytém osłabiona przy ciągłych potach, niszczała z ciała, temi kąpielami uleczyła się w r. 1833.

Hr. *D.* dama komplexyi delikatnéj, podeszłego wieku, cierpiąca od wielu lat na zatwardzenie w prawéj części brzucha, na ból krzyżów gwałtowny, na niestrawność i osłabienie, nie znalazłszy uleczenia w Karlsbadzie, powracając do Rossyi, tu się kąpała w r. 1834; w sześciu tygodniach na podziwienie rozeszła się twardość, bóle krzyżów ustąpiły, apetyt i siły przywrócone zostały.

Baronowna L. panna 12 lat cierpiąca na przemiany na nabrzmienia nosa i wargi skrofulicznie, po użyciu kąpieli w roku 1834 i wody Marienbadzkiéj, odzyskała przyrodną piękność twarzy.

X. F. dostojny starzec 70letni, który od kilku lat cierpiał ból artrytyczny i osłabienie nóg, i na co Trenczyn nie pomógł, tu się uleczył w r. 1835.

A. P. dama około 40 lat, na osłabienie, ból głowy, bezsenność i inne affekcye koltonowe przez 7 lat cierpiąca, w roku 1835 po powtórnem użyciu tutejszych kąpieli ozdrowiała i poty dostała naturalne, których przez długi czas nie miewała.

A. K. służąca 20letnia, na obszerny wrzód i na brzmienie nogi skrofuliczne; pomimo aptecznych środków i kąpieli siarczanych parę lat cierpiąca, kąpała się w roku 1835. Po 30 kąpielach noga sklęsła, wrzód się wyczyścił i zmalał; że zaś po dłuższém używaniu kąpieli czuła się być osłabioną, późniéj przez kilka tygodni tylko na wrzód samą wodę słoną przykładała i zupełnie wygoiła się.

Używają się kąpiele stopniowo co do ciepła i co do ilości słonéj wody, podług okoliczności choroby i konstytucyi. Ciepło kąpieli zniża się od 28° Reaum. na 16°. Ilość zaś słonéj wody do jednéj kąpieli, powiększa się od garncy dwóch do dwudziestu. Do leczenia uporczywych wrzodów, liszajów i swierzbów zastarzałych, używa się czasem i sama słona woda. Gdy stan choroby tego wymaga, mięsza się kąpiel słona ze słodową lub siarczaną ze Szwoszowic, przez co kąpiel Buska zupełnie jest oddaną.

Naśladowanie słonéj wody przez rozpuszczenie soli w wodzie, nie zupełnie odpowiada, bo nie łatwo się ilość soli stosunkowa w wodzie zwyczajnéj rozpuszcza, przeto w słonéj wodzie, jak w rozbiorze téj wody wyżéj pokazano, znajdują się także i inne istoty solne, odmiennéj od soli kuchennéj natury, którym skutecznego działania odmówić niemożna, nawet przewożenie i przechowywanie dłuższe słonéj wody w beczkach, zmienia wodę; jako to już Wiedeńscy lekarze sprowadzając wodę z Ischi do Wiednia, uważali. *a*)

Czas używania tych kąpieli jest, począwszy od Maja aż do końca Września, dla pojedyńczego chorego jest zaś pobyt sześć-tygodniowy lub dwumiesięczny wystarczający. Ku wygodzie kąpiących się, jest dom zajezdny JPana Stehlika razem z łazienkami, przeto mieszkańcy własnych pomieszkań dla gości odstępując. Pobyt w Wieliczce uprzyjemnia piękna okolica, widok Salin najsławniejszych w świecie, pobliskość Krakowa i kąpiele w samém mieście.

Korrespondencya literacka

List drugi.

W poprzednim mym liście powstałem przeciwko błędnéj dążności niektórych tegoczesnego wieku poetów, to jest: zdzieraniu ze wszystkiego illuzyj, wykrywaniu ludzkości najczarniejszych stron życia. Niech mi się godzi w dzisiejszym jaśniéj uzasadnić mój zarzut.

W życiu, w naturze, we wszystkiém zgoła, spostrzegamy dwa pierwiastki: pierwiastek *złego* i *dobrego*. Głębsze zastanowienie się pokazuje nam, że oba, acz zupełnie sobie przeciwne, są ściśle od siebie zawisłe; że jeden bez drugiego istnieć nie może. Bez krwawych bojów, okropnych spustoszeń, czémżeż byłoby życie? snem, zaiste, długim, przewlekłym letargiem. Trzeba piorunów, żeby obudzały ludzkość z tego uśpienia. Bez gwałtownych zaburzeń, wstrząśnień w naturze, czy byłaby jaka natura, w któréj widzimy codzień, jak z popiołów jednego pierwiastku, wyradza się drugi piękniejszy, celniej-

---

a) Sterz diss, de balneis muriatico-salinis. Vien, 1826.

szy w sobie? Kiedy więc tak jest, było i będzie na wieki, jakież zadanie człowieka, téj korony stworzenia, tego najszczytniejszego tworu, który nie jak inne istoty instynktowo, lecz z wiedzą tego, co przedsiębierze, działa; czy burząc, powiększać powszechne zamieszanie; czy też ku temu wytężyć swe siły, żeby uciszyć wszystkie wulkany serc ludzkich i natury, by stworzyć pola elizejskie, po którychby spokojnie błądząc, mógł kosztować nieokreślonych piórem roskoszy i swobód? Pierwsza dążność byłaby szaleństwem, ostatnia wybujałém, eterycznćm marzeniem! — Pomny, że złożon z ciała (materyi) i ducha, nie powinien nikt na ziemi, ani zniżać się do stopnia podrzędnych mu zwierząt, ani też wynosić się do bóstwa, którém, będąc okryty ciałem, tą ziemską bryłą, nigdy zostać nie może. Ale czując coś wyższego w sobie, czując, że on jest tym pierwiastkiem w życiu, około którego wszystkie inne korne zginają czoła, obowiązany stanąć z tém silném przekonaniem w tém kole, i nie niszczyć i burzyć, ani też wszystko przytłumiać; lecz jednać, łagodzić i porządkować. Nie rozumiem ja przez to, jakoby człowiek z podobném przekonaniem nie miał wewnątrz wzdychać do raju zupełnéj ciszy, rajskiego pokoju, uważając się tylko za organ całości, zupełnéj podpadający zagładzie. Owszem, wiém dobrze, że ta tęsknota, w każdém karmiona sercu, bo w każdym człowieku jest cząstka, nie do téj, lecz do wyższéj należąca krainy; że ta, mówię, tęsknota, jest właśnie owym bodźcem, pędzącym go do uciszania i poskramiania ryczących w okół niego burzliwych wałów życia. Tylko tak zuchwałą być nie powinna, żeby tę wieczną szczęśliwość, po za grobem rozkwitającą, już z tego odmętu najrozliczniejszych przeciwności, jakoby perłę, w głębinach morza utajoną, wydobyć pragnęła.*)

Przecież w oznaczonym do tego, co go otacza, stósunku, jedynie jego godnym, rozpoczyna człowiek krwawą, okropną walkę, słabszego nie raz do upadku, lub okropnego zwątpienia, porzucenia całego zawodu przywodzącą. Zginąłby w niéj i najśmielszy, gdyby mu tu nie przybywały w pomoc *religia* i *poezya*. Pierwsza wskazując nagrodę za trudy, a druga wystawiając cały przepych tego raju żywémi swémi kolory. To przeznaczenie poezyi, wytłumacza dostatecznie owo przezemnie w przeszłym liście powtórzone zdanie wielkiego Göthego: że poezya powinna być pośredniczką pomiędzy niebem a życiem! Poeta więc każden, równie jak filozof, powołany do kształcenia całéj ludzkości. Bo jak tamten wskazuje życiu prawe kierunki, tak ostatni stroi kwiatami swojéj wyobraźni te ciernista drogi, zaludnia hymnami ptaków, czarodziejską purpurą roślin, te dzikie puszcze życia, które dalszy w nie postęp, każdemu rozsłania. A to, by nie zrażać i zwątlać wstępujących w głogami najeżony ten zawód słabych młodzieży umysłów, a krzepić i wzmacniać już głębiéj w nim zaciekłych, wszystkich tu na ziemi do czynu przeznaczonych. Jeżeli zaś, sam na siłach opadły, boleścią nad jego zbyt krwawemi trudy strawiony, zechce wszelką z życia zdzierać illuzyę; niechaj przynajmniéj po za tém tłem czarnego swego obrazu, wskaże nam wyższy świat uroku, prawdziwéj szczęśliwości, do któréj westchnienie, każda dusza wstępując w ciało, z nieba przynosi. Wieszcz, odsłaniający tylko czarne strony życia, bez odsélania przerażonéj duszy do wyższéj, prawdziwie pięknéj krainy, świętokradzko czerpie ze źródła świętego natchnienia!

*) Tak ja pojmuję poezyą; takie wkładam obowiązki na tego, przez którego usta ona boski swój nektar sączy na przywalone boleścią krwawych mąk życia serca ludzkości!

Wycieczka do Krakowa.

Gdym raz na wsi przed licznem dość społeczeństwem, różnéj płci, wieku i ukształcenia, (w którém najmłodsza osoba miała rok dwunasty, a najstarsza siedmdziesiąt z okładem,) kilkadziesiąt numerów *Przyjaciela Ludu* położył, w krótce ucichła dosyć żywa rozmowa; każdy znalazł między numerami coś ciekawego dla siebie, coś, co go tak mocno zajęło, iż na miejscu gwaru i śmiechu, głuche powstało milczenie; jedni czytali o mądrym Maciosiu, drudzy o zasługach Jana Kochanowskiego, a wszyscy ukończywszy jeden kawałek, skwapliwie dalszego ciągu szukali. Uważałem, że rycinki, choć pod względem kunsztu tak małéj wartości, miały wszelako ten przymiot, iż jednego ze społeczeństwa, który najmniéj kocha się w czytaniu, przynęciły jednakże do *Przyjaciela*. To mnie przekonało naocznie o wielkiéj *Przyjaciela* użyteczności; dla tego zaraz się na *Przyjaciela* zaprenumerowałem; wstyd mi było pożyczać od drugich książki tak taniéj, a tak pożytecznéj w domu; nadto postanowiłem nadsełać do *Przyjaciela* moje ramoty, tym bardziéj, żem już dawno był to obiecał: niespodziewajcie się atoli odemnie głębokich lub mądrych rzeczy; powiem po prostu, com gdzie widział, com sobie patrząc myślił, a niekiedy nawet, com czuł. A najprzód opiszę wam moją świeżą wycieczkę do Krakowa.

Zakwitły tu dosyć sztuki piękne, choć nie wiém, dla czego żaden z krakowskich malarzy swoich obrazów na wystawę poznańską lub berlińską nie przysłał. Hadziewicz, między innemi, ma ukończone obrazy, któreby mu zasłużoną zjednały sławę. Doświadcza on sił swoich w różnych rodzajach; widziałem konie, Indyanina, świętą familię; łatwość i świetny koloryt, są cechą jego talentu. Pana Sztatlera obraz Ś. Jana, umieszczony w kaplicy, gdzie, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jest grób Jana Olbrachta, zdaje się niewykończony. Jedna tylko głowa

S. Jana jest wykończona zupełnie, rysy twarzy przypominają wielkiego naszego poetę; trzy niewieście osoby, wyobrażające wiarę, pobożność i nadzieję, mają być także portretami. Jednę głowę w tym obrazie, dla względów czasowych, zamalowano. Zarzucano panu Sztatlerowi, iż Chrystusa tyłem postawił, i twarzy jego nie pokazał; wyszły nawet o tym obrazie dowcipne, ale złośliwe wierszyki. Jest więc tu jakieś artystowskie życie, o którém nic Krakowiacy w dziennikach swoich nie piszą. — Prócz tych dwóch malarzy, jest tu jeszcze pięknych nadziei artysta, pan Henryk Kossowski, świeżo przybyły z Berlina, gdzie się kosztem rządu krakowskiego w snycerstwie doskonalił. Zrobione przez niego popiersie króla pruskiego, chciano umieścić na wystawie berlińskiéj; mimo młodego wieku, jest on już członkiem akademii berlinskiéj. — Kaplica, kosztem pani Potockiéj, z domu Branickiéj, w kościele katedralnym na zamku przebudowywana, już jest na ukończeniu. Architektą jest pan Bauman. Cała kaplica wyłożona jest czerwonym marmurem, wydobytym w Dębniku; obok ołtarza będzie stał posąg Chrystusa, dłóta Torwaldsona; jużto drugiém dziełem ten wielki snycerz katedrę krakowską przyozdabia. W téj kaplicy złożyła pani Potocka zwłoki zmarłego w Wiedniu przed kilku laty męża swego, Artura Potockiego, znanego w literaturze z romansu, po francuzku napisanego: *Maryna Mniszkówna*, i więcéj jeszcze z dobroczynności nadzwyczajnéj. Leżą tu, prócz tego, zwłoki Alexandra Potockiego, co wystawił był własnym kosztem park artyleryi konnéj za księstwa warszawskiego; Julii z Lubomirskich, sławnéj z piękności pani, a matki Artura Potockiego; i biskupa Padniewskiego. Markotno było niektórym, iż poruszono spoczywającego tu od trzech blisko wieków (umarł bowiem r. 1572) biskupa Padniewskiego, który był ojcem ubogiéj młodzieży, zdatnych kosztem własnym wychowywał w akademii krakowskiéj, a nawet posełał do Padwy i Bononii; bo i któż dzisiaj tak oświeconą dobroczynnością u nas poszczycić się może? My wszelako, co tak ogromne podatki próżności płacimy, niemoglibyśmy się zdobyć na cnotę Padniewskiego? Trochę mniéj galonów, burtów, pozłot, a za oszczędzone pieniądze wychowa się może jaki z naszych rodaków, którego imię późni potomkowie nasi ze czcią wspominać będą; ale wracam do Padniewskiego. Kielich złoty, z trumny jego wyjęty, zachowano w skarbcu, a pomnik odnowiono. Niemogę wiele powiedzieć o drugiéj kaplicy téjże katedry, którą pani Tyszkiewiczowa odbudować i ozdobić miała; przez szparę starych drzwi, któremi ta kaplica jest zabita, niewiele widzieć można; powiadają, że przez nieostrożne przycięcie jakiéjś tam kolumny, ta kaplica grozi upadkiem. Żałować należy, że pani Tyszkiewiczowa, z domu Poniatowska, niedokonywa rozpoczętego odbudowania kaplicy, którą na Poniatowskich kaplicę przeznaczywszy, różne rzadkie kunsztu i starożytności pomniki, w niéj umieścić zamyślała. Zewnątrz tylko widać gotyckie ramy do okna, które się za małe wydają.

(Koniec nastąpi.)

Ułamek z Shakspeara.

Hamlet (sam).

O bodajby to twarde, nazbyt twarde ciało,
W krople rosy rozpłakać, roztopić się chciało!
Albo gdyby przedwieczny niebył na rozdroże
Samobojców potępił! — O Boże, moj Boże!
Jakże ckliwo, jak miałko w tym niepłodnym świecie
Wszystko się pędzi, wichrzy i bez ładu plecie!
Kląć, plwać, na licho takie! — Oto ogród pusty,
Gdzie wystrzelą nasiona; ale je chwast tłusty
Wnet przerośnie, zagłuszy! — Miara się przechyla,
Dwa miesiące jak umarł — nie, nawet nietyla;
Tak szlachetny monarcha, dzisiajszego godny,
Jak Apollo Satyra; — on méj matki lica
Chciał osłaniać, gdy na nią zawiał wietrzyk chłodny.
O nieba! mamż pomyśleć? jego połowica,
Kołysana tak jedną wolą z nim pospołu,
Zaledwo owdowiona, od swego żywiołu
Co tylko odjęta — nie! w głowie się niemieści!
Jeden miesiąc! — o słabość w postaci niewieściéj!
Krótki miesiąc! nim zdarte podeszwy trzewika,
W których szła za pogrzebnym wozem nieboszczyka,
Jak Niobe w łzach cała — ona, tak jest — ona!
O Boże! choćby zwierzę, co rozumu niema,
Dłuższą miałoby żałość. Mego stryja żona,
Po bracie żona brata, dziś mego ojczyma,
Którego do rodzica tak właśnie przymierzyć,
Jak mnie do Herkulesa: — w miesiąc i z oczyma
Zbolałemi od płaczu, nim jeszcze z nich słona
Łza wyciekać przestała, już na nowo dzierżyć
Rękę męża drugiego! — O swawolo pusta!
Tak rzucić się niezwłocznie w kazirodne łoże
Nie jest dobrze, i nigdy dobrze być niemoże;
Lecz pękniéj serce, milczeć muszą moje usta!

Berlin 1836. *E. B.*

Przy końcu pierwszego półrocza piątego roku istnienia P. L., upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę w najbliższych księgarniach lub pocztamtach ponowić raczyli.

Ernest Günther, *wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)